

ZRANTONY STÓŁ

Laura
Martínez
Belli



Laura
Martínez
Belli

ZRANY STÓŁ

Przełożyła
Katarzyna Mojewska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

La mesa herida

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Agata Łuksza

Obraz wykorzystany na okładce: Frida Kahlo, *Dwie Fridy* (1939) ze zbiorów Museo de Arte Moderno w Meksyku / Artchive.com, domena publiczna

Ilustracje na okładce: © Anna / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

© Laura Martínez Belli

c/o Schavelzon Graham Agencia Literaria

www.schavelzongraham.com

Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Mojewska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-897-2

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Frida

Meksyk, 1935

Jest dzień i kilka gołębi przycupnęło na poręczy mostku łączącego oba domy. Frida przegania je ręką, sio, sio, a ptaki zrywają się do lotu z pełnym pretensji gruchaniem.

– Ale z was świntuchy – stwierdza, widząc kompletnie zafajdaną kładkę.

Przechodzi dalej i wkracza na terytorium Diega. Słyszy jakieś dźwięki. Pojękiwania. Tak brzmi rozkosz. Rozpoznaje też głos. Znajomy głos, który towarzyszy jej, odkąd tylko sięga pamięcią.

„Cristina?”, zastanawia się. Zamiera i unosi dłonie do ust nieco rozbawiona i zarazem zaskoczona.

Tak. To ona.

Śmieje się. Ależ ta jej siostra ma tupet. Sprowadzać mężczyznę do pracowni Diega. „Patrzcie no, jaka niecnota wyrosła z mojej Kitty”. Podnosi brwi.

Przez moment nawet się cieszy. „Już było jej tego trzeba”, myśli.

A wtedy – ciekawość. Przekłeta i wścibska ciekawość, pierwszy stopień do piekła. Pomysł, by podejrzeć własną siostrę uprawiającą miłość, wywołuje u niej takie ciarki, że aż najmniejsze

włoski na skórze stają dęba. Widywała już inne ciała splątane miłością. Nogi zwinęte ze sobą niczym sprężyny. Ale nie ciało jej siostry. Jej drugiej połowy. Bo Frida i Cristina były niemalże bliźniaczkami. Urodziły się w odstępnie zaledwie miesiący i Cristina towarzyszyła jej zawsze, orbitując niczym satelita.

Frida stąpa więc dalej, a wraz z nią czerń jej włosów.

Bo Frida jest czarną dziurą, pochłania wszystko. Jest tak potężna, że świat przy niej blednie. Kiedy się śmieje, jej zęby dźwięczą jak dzwonki. Frida jest osiłą. Wchodząc do pokoju, ściąga wszystkie spojrzenia. Nie ze względu na wygląd, tylko na ogień. Frida to płonący krzew. Zawsze tak było. Cristina zaś nie. Cristina jest niewidzialna. Jej nikt nie dostrzega. Chociaż jest ładniejsza. Chociaż ma dwa zielone szmaragdy w oczach i dwie nogi do pary. Cristina przemyka niepostrzeżenie, bo zawsze była tą idącą z tyłu. Cieniem. Tą, która ma jej usługiwać. Jej laską, na której się wspiera. „Kitty, pomóż siostrze iść”, „Jeszcze się przewróci”, „Jeszcze się potknie”, „Idź z nią”. A Cristina zawsze słucha. Kitty jest młodsza, ale Frida to Frida. A do tego pochłania całe światło dookoła.

Frida zawsze lubiła patrzeć na miłość. Przyglądać się ciału, które czerpie przyjemność, zamiast cierpieć. Pełnym ekstazy rysom pozbawionym bólu. Kobietom i mężczyznom na równi. Rozkosz nie ma płci. Idzie więc dalej. Stąpa dyskretnie, żeby podejrzeć, żeby zerknąć przez to samo okno, za którym w dzieciństwie widywała drugą, wymyśloną Fridę, towarzyszkę zabaw.

I widzi ich.

Na szkicach muralu.

Na kartonach i sztabkach węgla do rysowania.

Na stole.

Frida otwiera szeroko oczy. Niedowierzanie sprawia, że przywiera do miejsca jak do kałuży rozlanej smoły. Jak muha do słodko pachnącego papierka. Patrzy i otwiera usta. Nie

jest w stanie w to uwierzyć. „Nie może być, nie może być”, powtarza. I natychmiast zawraca, bo wie, że ten widok będzie ją prześladować do końca jej dni. Zaciska powieki. Żeby tylko nie nie widzieć, żeby zatrzeć wspomnienie. Gdyby się tylko dało, wetknęłaby głowę w ziemię. Ale już jest późno. Za późno. Zatyka uszy, lecz wciąż ich słyszy. Jęki siostry ranią ją, przeszywają. Robactwo roi się pod bębenkami, po odrobinie je przegryzając. Bo to oni. Ich dwoje!

Frida krzyczy.

Krzykiem wyrrywającym się z jej zniszczonych trzewi. Krzykiem tępym, przez który Cristina wymyka się przerażona, zasłaniając łono dłońmi, i zostawia leżącego na plecach Diega, nagą ropuchę, która mówi do niej:

– Frido...

Tylko tyle. „Frido”. A ona wrzeszczy do niego przepełniona bólem:

– Nie wymawiaj mojego imienia!

On nawet nie próbuje wstać.

Frida otwiera usta, ale z jej gardła wychodzą tylko martwe słowa, a w uszach ma pisk. Bo właśnie znów ją zniszczono. Nie chce nic wiedzieć. Widziała, co widziała. Stało się. Osoby, które kocha najbardziej na świecie. Kochające się. Zdradę. Pokonując najszybciej, jak tylko może, drogę powrotną ku kładce łączącej pracownię Diega z jej domem – dwa oddzielne, lecz zespolone ze sobą budynki – powtarza: „Jak mogłam być tak głupia, tak głupia!”. Łzy nie nadchodzą. Zatrzymały się przerażone. Zszokowane. Nie wiedzą, czy spłynąć po policzku, czy też zamienić się w kawał lodu. Frida próbuje nazwać ten rodzaj bólu. Ale nie potrafi. Inne, owszem, zna. Tego jednak nie. To coś nowego. Odkrycie, że istnieją nieznane jej rodzaje bólu, wprawia ją w osłupienie. Przez chwilę wydaje jej się, że Diego będzie ją gonić. Że ją pocieszy. Że będzie się tłumaczyć. Że jej to wynagrodzi. Ale nic z tego.

Nikt za nią nie idzie.

Jest sama.

Obejmuje się i kuli.

Po raz pierwszy w życiu myśli, że tego nie udźwignie.

A wówczas łzy wreszcie rozpryskują się o posadzkę, a ziemia, na którą spadają, odskakuje. Płacze. Strasznie płacze. Wydaje jej się, że nie zdoła już nic więcej wytrzymać.

Jeszcze tego nie wie, ale wytrzyma. Pokona tę stratę, rozczarowanie, ból, podobnie jak pokonuje wszystkich. Wszystko. bo Frida jest zwyciężczynią. Mocną kobietą w kruchym ciele. Ze zdrady ulepi w głowie obraz rozpacz, krwi. Namaluje ranę, która ją przeszła, pozostawiając po sobie niewidzialną bliznę. Miną lata, dni, sekundy, aż pewnego dnia wkroczy do pracowni Diega i każe wynieść ten stół. Stół, na którym Cristina i Diego... Na którym Diego z Cristiną... I każe rąbać go na wióry, aż zamieni się w trociny. Zlepi go, ubije, aż stanie się cieniutką deską pachnącą namiętnością. Zdradą. Zamknie oczy i zanurzy nagie dłonie we wnętrzu własnego cierpienia.

I zacznie malować.

Namaluje *Zraniony stół*.

Olga

Moskwa, ZSRR, grudzień 1947

Już kilka godzin wcześniej Moskwa zbudziła się z nocnego letargu, a teraz na bezchmurnym błękitnym niebie lśniło słońce. Olga Simonowa leżała wyciągnięta na kanapie, senna. Wyobrażała sobie żółty okrąg, czarny kwadrat i niebieski ślad pociągnięcia pędzlem. Smakowała barwy na podniebieniu. Wyciągnęła rękę i naszkicowała nią tylko sobie widziane kształty. Następnie powoli wzięła oddech i wepchnęła wizję na ciemny i cichy strych swoich złudzeń, do którego już dawno wyrzuciła klucz. Po czym otworzyła oczy. Przeciągnęła się. Poklepała kilka razy dłońmi lodowate policzki, jednym susem zerwała się na równe nogi i powiedziała sobie:

– Do roboty.

Od niewiele ponad roku pracowała w WOKS-ie, Wszechzwiązkowym Towarzystwie Łączności Kulturalnej z Zagranicą. Pełniła funkcję sekretarki, chociaż w jej dokumentach odnotowano, że ukończyła studia z malarstwa i konserwacji zabytków w Moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Architektury.

– Czyli że malarka? – skomentował pierwszego dnia pracy w biurze jej szef, Borys Bażenow.

Olga z pewną nieśmiałością przytaknęła.

– Nie bardzo wam się to tutaj przyda.

I w ten prosty sposób było pozamiatane.

Olga, wykształcona panienka, córka moskwianina i wienki, biegle znająca języki, średniego wzrostu – chociaż przy szefie przypominała bujny cyprys – o zapadniętych oczach otoczonych nieśmiałyymi, ledwie wyłaniającymi się z powiek rzęsami, a ustach gładkich jak pokład pirackiego statku, nosiła fryzurę przyciętą równo na wysokości podbródka. Miała lekko wystający kiel, dlatego nie pokazywała zębów, kiedy się uśmiechała.

Ukradkiem zaczytywała się w Majakowskim i Burluku. Od swojego szefa była młodsza o jakichś dziesięć lat. Jej ojciec (który zmarł wiele lat wcześniej na wylew krwi do mózgu) zawsze uważał, że ma prawdziwą Córkę Rewolucji. I faktycznie, Olga urodziła się w grudniu 1922 roku*.

Jej pierwsze wspomnienia nie wiązały się jednak z rewolucją i bolszewikami, ale z obrazami. Obrazami pełnymi barw. Przecinających się linii biegnących od jednej krawędzi do drugiej, zdeformowanych twarzy w kolorach zieleni i indygo. Niemożliwych perspektyw. Bieli na bieli. Obrazów wielce podziwianych przez jej matkę, która zabierała ją na wystawy awangardowych dzieł, kiedy jeszcze Olga była tak mała, że musiała zadzierać głowę i podziwiać je z dołu. Matka mówiła do niej po niemiecku i podawała jej obco brzmiące nazwiska – Chagall, Kandinsky, Malewicz – głosem słodkim i melodyjnym, jakim się wyszeptuje sekrety. Głosem, jakim się mówi do roślin.

– Posłuchaj, Olgo: ze wszystkich tajemnic świata żadna nie jest tak głęboka jak tworzenie.

Mała Olga nie rozumiała jej słów, ale właśnie z tego zagadkowego powodu zachowała je w schowku pamięci.

* Rok ustanowienia ZSRR.

Trzymając matkę za rękę, przewędrowała muzea pełne awangardowej sztuki. Sztuki elitarnej, którą niebawem – czego żadna z nich wówczas nie wiedziała – miał spotkać ostracyzm. Matka kucała, by szeptać jej wprost do ucha:

– Sztuka nigdy nie powinna niczemu podlegać. Nigdy nikomu nie podlegaj, Olgo. – I zaraz dodawała: – Oto prawdziwa Rewolucja.

Matka jednak przedwcześnie zmarła i zabrała ze sobą niczym nieskrępowany podziw dla piękna oraz strumień niewyczerpanej czułości.

Z biegiem lat, gdy Olga dorastała, zastanawiała się, czy ten nieuległy głos, który słyszała w swej głowie zawsze, gdy stała przed jakimś obrazem, to głos matki, czy jej osobisty wewnętrzny monolog. Głos jej własnych syren.

Ojciec Olgi był z kolei człowiekiem o wiele bardziej rozsądnym, bardziej praktycznym, a wszystko, co abstrakcyjne, zupełnie go przerastało. Kiedy córka pokazywała mu jego portrety – zdekonstruowane, ponakładane na siebie pod wszelkimi kątami kształty – darł kartki.

– Musisz tworzyć rzeczy, które ludzie rozumieją.

Żadna podarta kartka nie byłaby jednak w stanie sprawić, by Olga porzuciła swoje zamiary.

– Jak dorosnę, zostanę malarką – powtarzała mu.

Ojciec spoglądał zza jej nierealistycznych rysunków.

– Cóż, malując w ten sposób, daleko nie zajdziesz.

Po czym bekał, wykrzywiając usta, i kwitował, że najpewniejsza i najstabilniejsza jest praca sekretarki.

Olga malowała i malowała. Cały czas. Początkowo na ścianach, przez co dostała od ojca niezłą burę, ale gdy skończyła piętnaście lat, otrzymała stypendium w Moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Architektury.

Profesorowie byli zachwyceni, jak łatwo przychodziło jej malowanie portretów. Ze stosunkową lekkością kopiowała też wielkich mistrzów. Jak na swój młody wiek dobrze opanowała perspektywę i umiejętnie tworzyła kopie dzieł w stylu realizmu socjalistycznego.

– Jest bardzo zdolna – mówili jej ojcu profesorowie. – Jeśli poskromi swoje burżuazyjne zapędy, jeszcze będzie wielką artystką.

Dryg Olgi do rysunku frustrował pozostałych kolegów i koleżanki, którzy ignorowali ją i odwracali się do niej plecami. Wykładowcy z kolei uśmiechali się do niej dumni, że pozyskali nową artystkę na rzecz Rewolucji. Olga dziękowała za komplementy, ale zaraz czuła, jak świerzbą ją ręce, bo wciąż słyszała głos matki mówiący, że sztuka, prawdziwa sztuka, nie ma powodów, by być na usługach kogokolwiek czy czegokolwiek.

Wtedy nadeszła wojna, a wraz z nią wszystkie jej kłatwy. Głód. Spustoszenie. Zima. Śmierć. I ostateczny koniec awangard.

Wydarzyło się wiele rzeczy. Zbyt wiele. Życie zamieniło się w walec, który powolutku miażdżył wszystkie jej marzenia, jedno po drugim, a ona mogła tylko słuchać, jak się kruszą. Suche gałęzie trzaskające w ogniu wypełniającym powietrze toksycznymi waporemami. Ojciec zmarł pod jej nieobecność. To było jak grom z jasnego nieba. Olga znalazła go na podłodze w kałuży moczu, na jego twarzy wciąż malowało się przerażenie.

Choć tak bardzo się starała, okoliczności wywracały Olę jak kota, który zamiast spadać na cztery łapy, lądował na grzbiecie. Z konieczności porzuciła malarstwo i poszukała stałej pracy, z której mogłaby się utrzymać. I tak pewnego lodowatego październikowego poranka zapukała do drzwi biurowości. Przekroczyła jej próg z opuszczoną głową i wdzięcznością. Miała gdzie się ogrzać i za co zjeść ciepłą kolację. Została wydajną i skuteczną sekretarką. Aż któregoś dnia, zasypiając,

usłyszała tylko ciszę. Wówczas zdała sobie sprawę, że nie dobiega już do niej głos matki. Od jakiegoś czasu milczał. Jego anielskie brzmienie zastąpiło inne. Męskie. Szorstkie niczym papier ścierny. Był to głos jej szefa, Borysa Bażenowa.

Kiedy Borys chodził, dudnienie jego kroków niosło się echem po ścianach. Mimo drobnego wzrostu zapowiadał swoją obecność, jeszcze zanim dotarł na miejsce, było go bowiem słychać. Nogi przypominające krótkie pałeczki wybijały rytm jego ambicji na każdej z płyt posadzki.

– Wzrost mężczyzny poznaje się po tym, czy buja w obłokach – powtarzała jej matka.

Był to człowiek niewielki, lecz jego aspiracje polityczne sięgały wysoko.

Od małego był najniższy z braci, następnie najniższy z klasy, a teraz – najniższy z szefów departamentu WOKS-u. Wydawało mu się, że z tematem wzrostu już się uporał, bo bardzo się chełpił małym zwycięstwem, jakim było zostanie szefem departamentu niedawno utworzonej instytucji takiego rządu.

Jego misji nie stanowiło – jak uważała większość ludzi dookoła – krzewienie wymiany kulturalnej z nieradzieckimi narodami czy nawiązywanie przyjacielskich relacji z zagranicznymi artystami, by poszerzać twórcze spektrum Rosjan zyskujących w ten sposób dostęp do ruchów artystycznych zachodnich państw. Nie, nie, nic z tych rzeczy. Nie było nawet o tym mowy. Borys Bażenow zajmował się ochroną mentalności Rosjan – dbaniem, by nie konsumowali sztuki o zachodnich naleciałościach, pozbawionej walorów politycznych i społecznych. Odwszawianiem muzeów ze wszystkiego, co nie stanowiło propagandy. I traktował swoje zadanie bardzo poważnie. Ani trochę nie spuszczał z tonu. Bo niewinne złego początki, a potem nie wiadomo, jak się to skończy. Dobrze wiedział, że cudzoziemcy wyjątkowo gustują w realistycznych,

pozbawionych społecznego przesłania przedstawieniach, w dziełach burżuazyjnych, egocentrycznych, indywidualistycznych, nieodzwierciedlających uczuć ludu, nie mówiąc już o Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Za każdym razem, kiedy wracał z Państwowego Muzeum Sztuki Zachodu, w duchu dziękował Związkowi Radzieckiemu za otwarcie ludowi umysłu i wyzwolenie od wydawania na świat tak miałych artystów jak: Matisse, Renoir, Degas czy van Gogh, którzy spędzali życie na kontemplowaniu nenufarów i rozgwieżdżonego nieba. W rosyjskiej sztuce socjalistycznej chodziło o coś zupełnie innego i tak miało pozostać na zawsze.

Każdego poranka, kiedy Borys zasiadał za biurkiem, po prawej stronie blatu, pod kątem czterdziestu pięciu stopni od jego wiecznego pióra, czekała na niego filiżanka gorącej herbaty, a odrobinę dalej – grzanka posmarowana marmoladą. Brał łyk napoju, nieodmiennie parzył sobie wargi i przeklinał z wielką irytacją, po czym wgryzał się w kromkę, uważając, by okruszki nie przyczepiły mu się do wąsów. Następnie zabierał się do pracy. Nie zwracał uwagi na Olę, póki nie musiał – zawsze pilnie – zajrzeć do jakiegoś raportu albo podyktować listu. Za każdym razem, gdy szef wparowywał do pomieszczenia o kotarach z czerwonego aksamitu, Olga potrafiła przejść w bezszelestny tryb pracy bez szkody dla jej wydajności (bo tak naprawdę nieustannie coś załatwiała). Nauczyła się poruszać tak niepostrzeżenie, że zdarzało się, iż Borys zaczynał ją donośnie wołać, sądząc, że jest w gabinecie sam. Wtedy pojawiała się przed nim *ipso facto*, czym potrafiła wystraszyć go na śmierć.

Olga była nawykła do ciszy. Dzieliła mieszkanie z Walentyną, wdową, która mimo co najwyżej pięćdziesiątki na karku wyglądała na lat siedemdziesiąt, a odkąd się dowiedziała o śmierci męża i dwóch synów podczas operacji krymskiej, jej głównym

zajęciem było wzdychanie i co kwadrans dolewanie sobie wódki do kieliszka. Piła z rozpacz, a od ludzi wołała koty, choć miała ich tylko dwa (czarnego z rudą łatą i burego pręgowanego). Z początku wierzyła, że to duchy jej synów, ale zwierzaki również z dnia na dzień ją opuściły. Tam, gdzie kiedyś królowały gwar i krzątanie, dziś mieszkają one. Dwie kobiety dzielące ze sobą samotność.

Mieszkanko znajdowało się na dziesiątym piętrze, przynajmniej więc było słoneczne. Miało tylko jedną sypialnię, pokój dzienny, w którym mieściła się jedynie dwuosobowa kanapa o zgniłozielonym obiciu, mikroskopijną kuchnię z dwupalnikową kuchenką w rogu i łazienkę tak sumiennie sprzątaną przez Olę, że pewnego dnia zastała w niej Walentynę konsumującą posiłek. Kobieta siedziała na sedesie z miską gotowanych ziemniaków na kolanach i łyżką zastygłą w powietrzu, wpatrując się smutno w jedzenie. Ich mieszkanie było cichym, pozbawionym mężczyzn, dzieci, psów, kotów i ptaków miejscem, gdzie nocą grasować mogła co najwyżej jakaś czujna myszka.

Gdy tylko Olga, wracając z biura, przekraczała próg drewnianych drzwi do mieszkania, z miejsca słyszała niewyraźny bełkot Walenty, przepity głos o brudnym brzmieniu rozstrojonego radia.

– No, nareszcie wróciłaś, zostawiłaś mnie samą na całe popołudnie. Co ci tak długo zeszło? Co tak długo robiłaś z szefem w tym swoim biurze? No chodź, siadaj, zjedzmy coś, czekałam na ciebie z kolacją.

To było wszystko. Jadły razem, Olga całowała Walentynę w czoło jak kochająca córka, ta poklepywała ją po dłoni, a następnie chowała się w jedynej sypialni w mieszkaniu i szła spać. Olga sypiała w salonie za wiszącą na drewnianym kołku zasłoną zapewniającą namiastkę intymności. Cisza panowała tylko przez kilka minut, bo Walentyna chrapała gorzej niż jej mąż.

Piotr.

Jej Piotr.

Jej ukochany i upragniony Piotr.

To między innymi z jego powodu przestała malować.

Każdej nocy, nim zmorzył ją sen, Olga z całych sił starała się przypomnieć sobie smak jego pocałunków. Stawało się to coraz trudniejsze, co napawało ją strachem. Wówczas zmuszała się do przywoływania z zakamarków pamięci jego wyrazistych rysów, krzaczastych brwi, dotyku świeżo podgolonych brzytwą włosów, szerokiego uśmiechu przystojnego młodzieńca. Czy Piotr też śpi w jakimś pokoju dziennym współdzielonego mieszkania? Czy również próbuje sobie ją przypomnieć? A może wymazał ją z pamięci?

Policzyła na palcach. Pięć. Od pięciu lat się nie widzieli. To dla małżeństwa wieczność. Piotra, podobnie jak wielu, wielu innych mężczyzn, wcielono do wojska; dostał przydział do batalionu czołgów Armii Czerwonej. Wybierał się tam przepełniony entuzjazmem, nadzieją i patriotyzmem. Olę jednak pochłaniały też wątpliwości. Wyruszając w kierunku Stalingradu, w ramach operacji Fall Blau, Piotr oznajmił:

– Zatrzymamy niemieckich faszystów.

Olga jedynie opuściła głowę – nie ośmielała się wątpić, ale nie podzielała w pełni jego przekonania.

– Wróce, Olgo, obiecuję ci to.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Będę na ciebie czekać każdego dnia, aż wreszcie wrócisz.

– Wróce.

Po czym się pocałowali. Powierzchnownie. Smutno.

Kilka tygodni później Walentyna spostrzegła, że Olga pobladła i ma podkrążone oczy. Zrobiły się wąskie jak szparki.

– W ciąży jesteś – oznajmiła jej.

Olga położyła dłonie na brzuchu.

Nie miała odwagi mówić o tym głośno. Ani nawet pomyśleć.

– Ile razy nie dostałaś?

– Dwa – odparła. I rozplakała się.

– Och, biedactwo.

Usiadły na kanapie. Walentyna głaskała ją po włosach, podobnie jak wcześniej głaskała koty.

– Powiedziałaś mu o tym?

Olga pokręciła głową.

Kobieta pocałowała ją w czoło.

– Zobaczysz jeszcze, jak się ucieszy, gdy wróci i się dowie, że ma syna. Albo córkę.

Pozostały tak w uścisku, gnieździe uwitym ze splecionych ramion. Głowa jednej wsparta o głowę drugiej w intymnym geście prawdziwej miłości. Nagle Walentyna wybuchła płaczem. Olga wiedziała dlaczego. Znała przyczynę, odkąd tylko dostrzegła, jak ból trawi tę kobietę, zamieniając ją w umęczoną duszę. Matkę bez dzieci. Gorzej! Matkę dzieci umarłych. I Olgę ogarnął strach. Strach przed stratą. Kolejną. Teraz to ona pocieszała Walentyne.

– To będzie nasze wspólne dziecko – usłyszała swoje własne słowa, choć wcale tak nie myślała.

Czegóż by Walentyna nie oddała, żeby któryś z jej synów mógł kiedyś zostać ojcem! Patrzeć, jak jego dzieci rosną. Zakochują się. Żyją. Wstała, nalała sobie szklankę wódki i zamknęła się w swojej sypialni. Tak było zawsze. Nie pozwalała sobie na żadną radość. Bo ona żyła, a jej dzieci nie.

Olga zaczęła się cieszyć, że zostanie matką. Myśl, że jakaś część Piotra w niej mieszka, dawała jej szczęście pośród ogromu smutku. Pracowała dalej, znosząc humory Borysa. I jak nigdy wcześniej tęskniła za swoją matką.

Kilka dni później nagle poczuła, jak ziemia ugina jej się pod stopami i zamienia w mokre bagnisko obaw. Zakręciło jej się w głowie. Próbowwała skupić wzrok, ale obraz siedzącej przy kuchennym stole Walentyny rozmazywał się w niekończące się niebieskie i czarne poziome pasy, wyginające się to w jedną stronę, to w drugą.

Następnie: wilgoć.

To wstrętne zwilgotniałe uczucie w majtkach. Zimne, lepkie. Potem pisk w uszach. Nieustanny przeszywający gwizd lokomotywy torpedującej jej bębni. Dotyk własnej gorącej dłoni na mokrym kroczu, czerwona plama na spódnicy, na palcach, kolor starego żelaza i zmieniony, spowolniony głos wołający ją z oddali.

– Olga... Olga...

Zemdlała.

Walczący gdzieś daleko Piotr nie dowiedział się, że jego żona straciła dziecko, którego oczekiwali – i już nigdy miał się tego nie dowiedzieć.

Przez wiele nocy Olę nawiedzały koszmary o martwym płodzie. Chciała móc wylizać go jak kotka, upoić się jego krwią i własnymi łzami. Nigdy wcześniej nie czuła się tak samotna.

Mijało pięć lat, jak Olga czekała, aż Piotr pojawi się w drzwiach.

Ale nie wrócił.

Jeszcze.

Lecz choć wciąż czekała, głos, który wbił jej w plecy obietnicę – „Wróć” – przygniatał ją do ziemi. Parła dalej, nie zatrzymując się, niczym żółwica dźwigająca na grzbiecie własną rezygnację.

Kiedy jednak przekraczała próg biura, wydarzało się coś bliskiego magii. Skorupa znikała, bo każdy z towarzyszy targał ciężar własnego pancerza. Wystarczyło, by znalazła się za

drzwiami, i już czuła się jak górnik, który po szybcie w mroku wyjeżdża na powierzchnię. Oddychała. Do jej wnętrza przenikała fala powietrza o zapachu świeżo wytartych z kurzu mebli, środka do pucowania kryształów i wosku do drewna. Nim usiadła, przeciągała palcem wskazującym po biurku, żeby się rozkoszować piskliwym dźwiękiem czystości. Dobiegające z biura szmery relaksowały ją. Podczas pracy starała się nie naduszać zszywacza zbyt energicznie ani nie przyciskać ołówka do kartki mocniej niż trzeba, a pióra trzymała w ceramicznym kubku, aby nie hałasować otwieraniem szuflad. Stukot czcionek uderzających o wałek maszyny do pisania sprawiał jej taką samą przyjemność jak słuchanie Rachmaninowa. Przede wszystkim zaś chciała być pomocna dla swojego szefa, bo radziła sobie z nieobecnością Piotra, czerpiąc satysfakcję z dobrego wykonywania swojej pracy, nawet jeśli polegała ona na realizowaniu powtarzalnych i monotonnych zadań, takich jak porządkowanie dokumentów, archiwizowanie korespondencji, odpowiadanie na listy lub zamawianie – dla trzech różnych działów – taśm do maszyn do pisania. Jakże już odległa jej była sztuka, suprematyzm. Energiczne linie życia. Wciąż jednak, kiedy nikt nie patrzył, Olga ćwiczyła rysunek i zapełniała zeszyty szkicami swoich dłoni. Dłoń trzymająca pędzel. Otwarta dłoń. Zaciśnięta pięść. Hiperrealistyczne szkice w barwach samiuńskiego Ilii Riepina*.

Borys uważał ją za najwybitniejszą ze wszystkich dotychczasowych podwładnych. A każdy, kto wchodził do jego biura, dopiero po kilku sekundach zdawał sobie sprawę z jej obecności, ponieważ Olga była jak kameleon zawsze potrafiący się

* Ilia Jefimowicz Riepin był wybitnym rosyjskim malarzem i rzeźbiarzem pochodzenia ukraińskiego. Stanowił wzór do naśladowania dla artystów socrealistycznych.

zakamuflować, gdy tylko sytuacja tego wymaga. I chociaż stała oparta o ścianę obok biurka z litego drewna lub siedziała na krześle obitym czerwonym aksamitem, pozostawała niezauważona. Borys miał w zwyczaju powtarzać, że jest „trochę niemową”. Po czym żartował:

– Idealna sekretarka.

Olga już dawno przyjęła do wiadomości, że tak już zawsze będzie wyglądało jej życie, w zawieszeniu pomiędzy milczeniem, cierpieniem a oczekiwaniem.

Ten grudniowy poranek w 1947 roku z pozoru nie różnił się od pozostałych. Śnieg malował pejzaż na białą, szron szkicował figury geometryczne na szybach, biuro budziło się w silnym zapachu pasty do parkietów, którą dopiero co przetarto powierzchnie, Borys dudnił zelówkami o podłogę, aż niósł się echem stukot – stuk, stuk, stuk – herbata parowała, rozsiewając aromat z torebki, grzanka z marmoladą leżała pod idealnym kątem... Ale mimo że rutyna powtórzyła się jak odrysowana przez kalkę, tego dnia miało się wydarzyć coś, co na zawsze zmieni życie Olgi.

Są bowiem gromy z nieba, które spadając, dzielą nas na pół i zamiast zginać, pękamy na dwie części – osobę, którą byliśmy wcześniej, i tę, którą się stajemy. Rozpalają nam na środku klatki piersiowej latarnię, a ta rozświecila nas od wewnątrz i od tamtej chwili mamy do wyboru tylko dwie możliwości: dać się temu światłu oślepić lub zlać się z nim w jedno. Właśnie taki płomień pojawił się w Oldze tego poranka, kiedy to zimowe słońce nie zdołało stopić śniegu pokrywającego ulice i dachy, a Borys nie potrafił sprostać otrzymanemu poleceniu.

Olga żyła dotychczas w przeświadczeniu, że jej życie będzie niczym płaski, murszejący z biegiem wieków step. I z wolna się do niego dostosowała jak surowe ciasto wypełniające formę. Do bycia żoną nieobecnego męża, do swojego pustego łona, do

egzystowania ze smutkiem Walentyny, do spokoju monotonnej pracy, do porzucenia swoich artystycznych marzeń. Nie wiedziała jednak, że będzie z nią podobnie jak z fasolą namaczaną w garnku, by się później szybciej ugotowała, a jej życie tylko czeka, żeby się zamienić w huragan zdolny zostawić ślady w powłoce ziemi.

A wszystko to sprawił ten jeden list.

Niepozorny list z dalekiego Meksyku, który rozsadził wszystko od środka.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 kobiece

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)